

E/650

Droga rodziny Stefana i Stefanii Bryl na Syberię



Przed wybuchem wojny mieszkaliśmy w powiecie kolskim, województwie poznańskim. Ojciec chcąc uchronić rodzinę przed działaniami wojennymi postanowił na tydzień przed wybuchem wojny wyjechać wraz z całą rodziną na Polesie gdzie miał przyjaciół z którymi był przed laty w Ameryce. Cała moja rodzina wraz z możliwym do zabrania dobytkiem pojechała do znajomych ojca mieszkających we wsi Dobra Wola w powiecie Luniniec województwie pińskim. W tej miejscowości ojciec kupił gospodarstwo wielkości 9,5 ha. Mieliśmy tam zostać do końca działań wojennych a po zakończeniu wojny wrócić w rodzinne strony.

17 września wojska rosyjskie wkroczyły do Polski i dość szybko odczuliśmy się działania nowej władzy. Już w listopadzie zaczęto spisywać ziemię, inwentarz żywy i wszystkie inne dobra. W tym czasie także rozchodziły się pogłoski o wysiedlaniu Polaków w głąb Rosji, wysiedlano także Białorusinów i Ukraińców, ludzie tych narodowości nie byli przerażeni możliwością wysyłki - twierdzili, że jada do lepszego kraju, że tak ich jak i nas czeka tam lepszy los. Ja i moi bliscy nie bardzo wierzyliśmy w ten obiecany raj. Nie zdążyliśmy się jeszcze dobrze zagospodarować w nowym miejscu kiedy i nas zmuszono do opuszczenia świeżo nabytego gospodarstwa. 10 lutego koło godziny 10 rano dwóch żołnierzy - rosyjski i polski Żyd wpadli do mieszkania krzycząc - "ręce do góry". Żołnierze przeprowadzili szbką rewizję domu i kazali nam zabrać trochę mąki, kaszy, chleb i wyjść z domu na dwór, gdzie na nas czekały sanie. Oczywiście przed wyprowadzeniem nas z domu sprawdzili dokładnie nasze dane personalne. W czasie kiedy wyrzucano nas z domu - ojciec był na wsi u sąsiada, nie chcieliśmy bez niego wyjeżdżać, żołnierze zapewnili nas, że niedługo i ojciec do nas dołączy. Tego dnia było bardzo mroźno, staliśmy w trzaskającym mrozie i słyszeliśmy przerażone głosy kobiet i płacz dzieci dochodzący

ze wsi. Nie da się tego zapomnieć- tak straszny sen nigdy nie mógł się przyśnić - a to przecież się zdarzyło i to trwa w mojej pamięci do dziś.

Po jakimś czasie wszystkich zebrano i pod konwojem ruszyliśmy długą karawaną w kierunku stacji kolejowej w Dzedłowicach (około 10 km od Lunińca/. Na stacji załadowano nas do bydłych wagonów. Do jednego wagonu "wchodziło" od 50 do 70 osób. Rodziny i osoby samotne razem. ^A Na dworcu czekaliśmy w pociągu do następnego dnia aż wszyscy zostaną załadowani. Właśnie tego drugiego dnia odnaleźliśmy ojca, którego zabrano z mieszkańcami z innej wsi i miał odjeżdżać innym pociągiem w zupełnie innym kierunku. Ubłagaliśmy żołnierzy i pozwolili ojcu dołączyć do nas.

¹ Trzeciego dnia gdzieś koło godziny czwartej po południu do naszego pociągu przyłączono 3 parowozy i tego właśnie dnia stłoczeni w bydłych wagonach rozpoczęliśmy naszą podróż w nieznane.

Zegnaliśmy Ojczyznę ze łzami, nie wiedzieliśmy jeszcze, że tu już nigdy nie wrócimy a wielu z nas nigdy nie zobaczy Ziemi Ojczystej. Podróż do "ziemi obiecanej" trwała dwa tygodnie, jechaliśmy nieświadomi kierunku i celu podróży. Trudno opisać warunki jakie panowały w wagonach. ^{Ma} Masa ludzi w różnym wieku, dzieci, starcy, zdrowi, chorzy. Każdy musiał coś zjeść, choćby trochę się umyć, załatwić potrzeby fizjologiczne. Wszystko to odbywało się w tym samym wagonie, który był jednocześnie sypialnią, jadalnią, łazienką i ubikacją. Trudno wyobrazić sobie odór jaki panował w wagonach.

W czasie podróży ~~cztery~~ cztery razy pozwolono nam podczas postojów nabrać wody - i kubek na rodzinę i przynieść niewielką ilość opału.

W wagonach były małe piecyki, które miały ogrzewać pomieszczenie a służyły tylko do podgrzania jedzenia - jeżeli było co podgrzewać.

W wagonach wszyscy trzęśli się z zimna. Bardzo dobrze pamiętam przymusowy przystanek w Moskwie, staliśmy dłuższy czas na bocznicę. Mogłem w tym czasie wyjść, rozejrzeć się i spróbować dowiedzieć się czegoś o naszym losie od przygodnie poznanych ludzi.

W Moskwie na dworcu poznałem człowieka od którego udało mi się kupić chleb a jednocześnie ten sam dobry człowiek udzielił mi cennych informacji dotyczące możliwych kierunków jazdy naszego pociągu. Powiedział mi, że jeżeli po ruszeniu pociąg skręci w prawo - to jedziemy na Ural Kazachstan, jeżeli na lewo - celem naszej podróży jest Syberia.

Niestety, skręciliśmy w lewo.

Nie pamiętam miejscowości gdzie nam kazano ~~wybieść~~ ^{wysiąść} z pociągu, było to jakieś małe osiedle. Miejscowi ludzie których spotkaliśmy sami byli więźniami od 1929 roku i nie mieli pojęcia o tym, że my jesteśmy Polakami byli przekonani, że przywożą nowych wrogów systemu radzieckiego z ich własnego kraju. Mieszkali tam także miejscowi ludzie - prawdziwi Sybiracy ci patrzyli na nas nieco podejrzliwie, ale jednocześnie pomagali nam w czym mogli.

Po kilku dniach pobytu dowiedzieliśmy się , że jesteśmy na Syberii - obłast Plesiecko a najbliższe miasto to Archangielsk. [†] Tak więc zaczęliśmy nowe życie.

Po trzech dniach pobytu w nowym miejscu- po spisaniu wszystkich i przeprowadzeniu wstępnych przesłuchań, które potem były powtarzane bardzo często - nowa władza zaczęła wszystkim przydzielać pracę. Kobiety i starsze dzieci ~~pracy~~ przy odśnieżaniu torów kolejki wąskotorowej wywożącej zcięte bale drzew a przywożącej od czasu do czasu prowiant, naftę i inne rzeczy. Mężczyźni natomiast zostali skierowani do pracy w lesie przy zcinaniu drzew. Dzięki rodowitym Sybirakom i "starym" zesłańcom- wiedzieliśmy jak mamy się ubrać aby nie zamarznąć na dworze. Mrozy tej zimy sięgał raptem 50° i nie były największe, ale dla nas były straszne. Woda zamarzała w wiadrze zanim się ją doniosło od studni /bardzo głębokiej/ do domu.

Trudno opisać warunki życia w jakich mieszkaliśmy i pracowaliśmy, ludzie niedożywieni, gnieźdzący się w zimnych chatkach zaczęli chorować, coraz więcej umierało. byliśmy przeznaczeni na wyniszczenie.

7 czerwca 40go roku zachorowała moja matka, umarła następnego dnia.

Jej ostatnie słowa skierowane były do ~~matki~~ mnie - powiedziała: Edek, ty jesteś najstarszy i ty zaopiekujesz się całą rodziną, ja już nie mam siły żeby żyć, ale nie będzie mi dobrze leżeć w tej ruskiej ziemi".

Nie potrafię opisać rozpaczki po śmierci matki, ja nie mogąc powstrzymać się od łez wykopałem grób dla matki.

Śmierć matki wszystkich nas strasznie załamała, ojciec często płakał, posiwiał, młodszy brat - Józek na skutek silnego wstrząsu psychicznego zachorował umysłowo - zabrano go do szpitala. Udało mi się raz go odwiedzić. Gdy przyjechałem po jakimś czasie na następną wizytę do szpitala - mojego brata już w nim nie było. Od tej pory nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości. Po śmierci matki i zaginięciu brata musiałem nieco inaczej myśleć o rodzinie. Przykazanie matki było mi droższe nad życie. Ojciec sam nie był w stanie utrzymać i zaopiekować się tak liczną rodziną. Obok naszego domu "mieszkał" były oficer armii carskiej zesłany ~~tuż~~ za niewłaściwe pochodzenie i nieprawomyślność na Sybir, człowiek ten lubił mnie i za jego wstawiennictwem udało mi się dostać pracę w kołchozie. Byłem pastuchem - pasłem krowy. Poznany przez mnie oficer był Kozakiem z nad Donu, od niego usłyszałem wiele mrozących krew w żyłach historii dotyczących ludzi zesłanych na tereny na których teraz my mieszkaliśmy. Ludzie ci byli przywożeni w latach 30stych, przeżywali niesamowity głód, były przypadki kanibalizmu wśród zesłańców, którymi byli popi, księża katoliccy, arystokracja a także zwykli prości ludzie. Oficer pokazywał mi mogiły położone w lesie - pochowano tam według niego tysiące ludzi.

nasze osiedle ciągle się powiększało, w międzyczasie przybyło kilka rodzin Żydowskich. Nie pamiętam skąd przyjechali.

Jednocześnie nasilały się choroby, ludzie często umierali, powiększał się prowizoryczny cmentarz. Nas także nie ominęło następne nieszczęście.

W marcu 1941 roku zmarło troje mojego rodzeństwa - Rysio i Kasia zmarli jednego dnia - 20 marca a Tadek 21 marca. Nie pamiętam ich pogrzebu, ojciec twierdzi, że byli pochowani obok grobu matki.